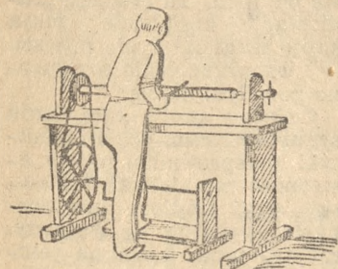


CZŁOWIEK I JEGO DZIEŁO

Janusz Likowski

Od wieków zadawano pytanie — co jest cechą człowieczeństwa, albo inaczej, jaka cecha wyróżnia każdego człowieka ponad „najmądrzejsze” zwierzę. Póki ludzie nie odkryli większej ilości ukrytych praw przyrody, uzasadniano dosyć naiwnie nie-

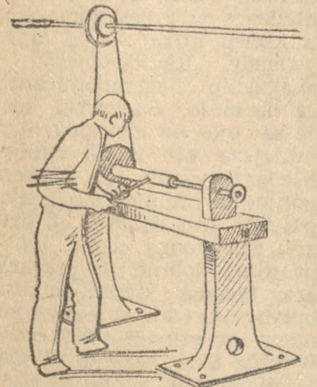


Ryc. 1

watpliwa wyższość człowieka nad innymi stworzeniami, a przecież tkwi ona w zdolności kojarzenia faktów, wyprowadzania wniosków, a więc przewidywania układów zdarzeń. Jest to pierwsza, istotna cecha myślenia i człowieczeństwa.

Druga wiąże się z nią organicznie. Jest to praca. Engels powiedział niegdyś, że istota będąca praprzodkiem człowieka stała się istotą rozumną dzięki pracy. Tak było w istocie. Gdy przejrzeć dzieje świata przekonamy się, że im wyższa forma organizowania pracy, — tym wyższy poziom rozwoju społeczeństwa. Nie należy odwracać tego pojęcia. Nieślusznym byłoby twierdzenie, iż tylko poziom umysłowy ludzkości decydował o rozwoju (powiedzmy) środków produkcji. W ostatecznym rachunku było zawsze odwrotnie. Jedynie doskonalsze formy wytwarzania zapewniały ludziom marsz naprzód. Najpiękniejsze, najbardziej głębokie myśli filozofów ateńskich nie wpłynęły na historyczne wydarzenia tak, jak wynalazek maszyny parowej, która była jednym z wielu silnych pchnięć wioseł posuwających kół ludzkości po rzecze wieków.

Zatrzymajmy to porównanie. Pierwotny człowiek siał na pływającą z prądem kłodę drzewa, co niewątpliwie było jego pierwszą formą rozmyślanej komunikacji. Później kilka drzew z obciosanymi gałęziami wiązał np. lipowym tykiem — sporządzał tratwę. Inny, bardziej przemyślny, łąbił wnętrza kłody kamieniem lub wypalał ogniem. Odpychał się od dna długą żerdzią. Później stwierdził, a było to genialne odkrycie, iż można się odpychać rozszerzonym na kołcu



Ryc. 2

kijem także od wody, gdy jest ona głęboka. Prawnik wynalazcy zastosował żagiel. Po kilkudziesięciu wiekach wewnątrz kadłuba okrętu wbudowano maszynę parową obracającą dwa ogromne koła z trzema tuzinami łopatek. Już po kilkudziesięciu latach zastosowano śrubę, potem turbiny parowe, motory Diesla i tak dalej... C podobnej kariery historycznej podstawowej dziedziny przemysłu chcemy powiedzieć kilka słów w niniejszym artykule.

Widzicie pięć rysunków. Przedstawiają one kolejne stadia rozwoju tokarni. Kiedyś to człowiek obtaczając jakieś narzędzie, czy przedmiot drewniany, był jednocześnie siłą napędową mechanizmu, a nóż musiał trzymać w ręku? Bardzo to odległe czasy, a jednak owa prymitywna machina była niegdyś ogromnym wynalazkiem. Pozwalała na dość dokładne tocenie wałów, obróbkę kształtów krągłych, kulistych. Wydajność „maszyny” ograniczała oczywiście niska sprawność mięśni ludzkich. Noże — dłuta były słabo hartowane. Spóśób wytwarzania cierpiał jeszcze jeden niedostatek: człowiek nie mógł się skupić w wysiłku umysłowym nad obróbką. Ogromną część pracy stanowił trud pokonania niedoskonałości urządzeń.

W tokarni przedstawionej na rycinie drugiej zasada poruszania mechanizmu uległa znacznemu ulepszeniu. Człowiek znalazł źródło napędu poruszającego mechanizm. W owych czasach tylko geniusz Leonardo da Vinci mógłby przewidzieć stworzenie sztucznej energii. Przecież człowiek wieku XVI uznałby motor parowy lub spalinowy za sprawkę diabelską, a wynalazcę godnym upieczenia żywcem na stosie. Wróćmy jednak do tokarni. Budowa jej nie została udoskonalona, bowiem w dalszym ciągu nóż — dłuto trzeba trzymać w ręku. Pojawia się jednak transmisja siły z koła wodnego. Spadek wód zostaje wykorzystany jako źródło energii. Nogi człowieka nie potrzebują deptać przekładni, jak do dziś można zobaczyć w maszynach do szycia, choć i te coraz częściej są poruszane elektrycznością. Uczyłono wielki krok naprzód — znaleziono źródło siły, która choć miewa (zależnie od pogody) swoje kaprysy, jednak nie ulega „zmęczeniu”, co jest bardzo wartościową cechą. Człowiek może poświęcić cały wysiłek precyzji obróbki.

Jest jednak pewna trudność: nie każdy może sobie pozwolić na zbudowanie warsztatu, który pierwotnie powstawał przy młynach zbożowych. Aby koło wodne mogło obracać tryby mechanizmu, trzeba budować tamy, groble i silną konstrukcję budowlaną. Duże nakłady nie opłacają się, gdyby je zastosować do pojedynczego warsztatu. Buduje się więc ich od razu kilka lub kilkanaście. Przedsięwzięcia może dokonać kupiec albo rzemieślnik zasobny w pieniądze, a więc środki produkcji. Powstający warsztat traci cechy przedsiębiorstwa rzemieślniczego — staje się manufakturą, pierwotnymi kapitalistycznej fabryki.

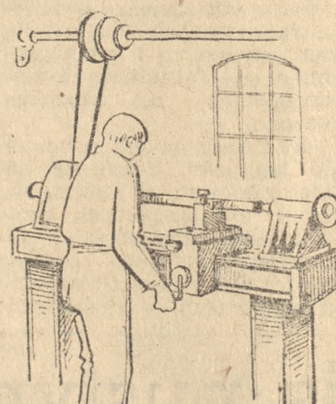
Rycina trzecia przedstawia wykształcony już typ tokarni. Energii dostarcza maszyna parowa. Człowiek nie trzyma w ręku noża tokarskiego, który osadzono w specjalnie skonstruowanej części ruchomej. Ręce ludzkie nastawiają urządzenie pod odpowiednim kątem natarcia i w odpowiednim miejscu toczącego przedmiotu. Można, teraz obrabiać przedmioty, nie tylko z drewna lub miękkiego metalu. Tokarnia daje sobie radę nawet ze stalą, a pracę wykonuje bardzo szybko. Wzrosła ogromnie precyzja tocenia.

Oczywiście koszty budowy urządzeń są jeszcze wyższe. Tylko bardzo zasobni posiadacze środków produkcji mogą się zdobyć na potężną inwestycję.

Kiedyś powiedziano, że kapitalizm rozwinął się dzięki

maszynie parowej. Oczywiście. Jednak sprawcą ogromnego rozwoju przemysłu wieku XIX i XX jest poza maszyną parową — tokarnia zbliżona w zasadach konstrukcji do przedstawionej na rycinie trzeciej. Na niej wytaczano wszystkie części wynajdywanych coraz bardziej zmyślnych i precyzyjnych maszyn. Obrabiarka tokarnia i kierujący nią człowiek — oto dwaj budowniczowie postępu technicznego epoki zwanej „wiekiem pary i elektryczności”.

Początkowo zastosowanie elektryczności jako środka



Ryc. 3

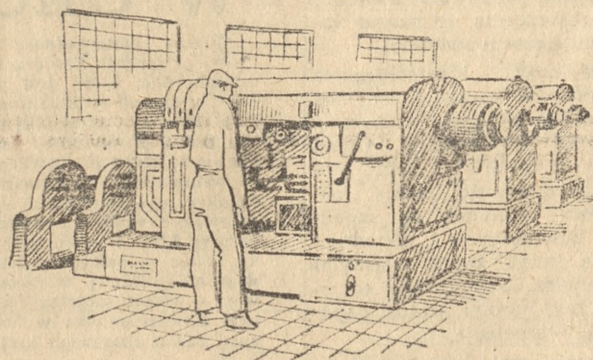
napędowego nie wiele zmieniło działanie naszej maszyny. Rychło jednak zaczęto rozmyślać nad zautomatyzowaniem procesu obróbki przedmiotu metalowego. Elektryczność pozwala bowiem na gwałtowne przerywanie obrotów, automatyczne włączanie całego mechanizmu lub jego niektórych części. Napęd elektryczny pozwala (przy stałym napięciu i natężeniu) dokładnie regulować szybkość poszczególnych faz obróbki, co w niektórych rodzajach produkcji jest niezwykle ważne. „Baterię” automatycznych obrabiarek (taką nazwę przybrała stara, pocziwa tokarnia) widzimy

na rycinie czwartej. Człowiek jest już tylko nadzorcą. Naprawia uszkodzenia maszyny, kontroluje produkcję, jest jej przewodnikiem.

Rycina piąta przedstawia najnowszą metodę produkcji — fabrykę-automat. Praca fizyczna człowieka została sprowadzona niemal do zera. Jeśli trud połączony z naciśnięciem guzików i zmianianiem przykładni uznamy za nie należący do kategorii wysiłków fizycznych, można powiedzieć: praca fizyczna znikła. Człowiek stał się prawdziwym władcą zespołu maszyn. Siedzi na fotelu przed tablicami posterunku kierowniczego. Umieszczono tu zegary i światła sygnałowe. Maszyna melduje o błędach, donosi o ilości i gatunku wykonanych wyrobów. Człowiek stoi — nie, siedzi! — bardzo daleko od obrabiarek. Nawet nie patrzy na ich pracę, a jednak jest dokładnie poinformowany o wszystkich jej czynnościach.

Cóż za ogromny skok w rozwoju ludzkości!

Sredniowieczny człowiek mozolnie deptać nogą obracał prymitywną tokarenkę, był nieodłączną — bo napędową — częścią składową bezrobomaszyny. Bez niego mecha-



Ryc. 4

nizm musiałby zamrzeć w bezruchu. W fabryce-automacie jeden człowiek jest moż-

w nich pracę setek, jeśli nie tysięcy robotników. Dawnie w fabryce pracowało (na przykład) dwa tysiące robotników. Po zautomatyzowaniu wystarczy dwudziestu inżynierów i wysoko kwalifikowanych mechaników. Co dzieje się z resztą? Kapitalista wyrzuca ich oczywiście na bruk. Robotnikom grozi nędza, głód.

Takie są brutalne prawa kapitalizmu. Każde rewolucyjne udoskonalenie produkcji obraca się w kłeskę mas pracujących.

DLATEGO MOŻEMY ŚMIAŁO MÓWIC: „Ustrój kapitalistyczny został skazany na śmierć — bez prawa apelacji”.

UZASADNIENIE WYROKU: „Celem kapitalistycznej produkcji jest wydarć owoców pracy robotników. Kapitalizm hamuje i niszczy siły twórcze, nie pozwala się im rozwinąć. Zdobywcze wieczy, nad którymi ludzkość wieki całe pracowała, stosuje jako środek niszczenia. Ustrój ten jest przeżarty egoizmem, chciwością klas posiadających. Kapitalizm leży jak kłoda-zawalidroga w poprzek kierunku marszu ludzkości. Kłode trzeba odrzucić, kapitalizm zniszczyć!”

WYROK WYDAŁY: Surowe prawa historii!”

WYROK WYKONA: „Klasa robotnicza wszystkich krajów”.

Ustrój socjalistyczny, a właściwie komunistyczny, w którym prawdopodobnie tylko automatyczne zakłady przemysłowe będą istniały, nie zna kłeski bezrobocia. Jego celem jest osiągnąć takie rozmiary produkcji, by potrzeby wszystkich ludzi mogły być zaspokojone.

Ogromne zadanie! Józef Stalin, gdy go przed kilku laty zapytano ile lat dzieł Związku Radzieckiego od spełnienia warunków społeczeństwa komunistycznego, powiedział, iż trudno przewidzieć jakiego tempa nabierze rozwój myśli technicznej, ale biorąc porównawczo pierwszą powojenną pięcioletkę (która była wielkim sukcesem radzieckich robotników) trzeba pięć lub sześć takich „pięcioletek”. Jedną z nich została już wykonana.

Gdy fabryki-automaty staną się zjawiskiem powszechnym, czas ten ulegnie znacznemu skróceniu. Wielka ilość pracy ludzkiej będzie włożona tylko w zbudowanie fabryki. Później dwudziestu ludzi wykona te same zadania produkcyjne, które dawniej potrzebowały (powiedzmy) dwóch tysięcy robotników. Praca będzie trwała znacznie krócej, a człowiek będzie mógł wziąć daleko większy udział w tworzeniu i konsumpcji kultury. Przyrodę będzie pokonywała maszyna. Całkowite zautomatyzowanie produkcji pozwoli ogromną ilość ludzi przerzucić do prac inwestycyjnych, gdzie obecność myślącego człowieka jest niezbędna.

Fabryka-automat jest także objawem ciekawego zjawiska (które niegdyś przewidyli teoretycy marksizmu) — zasypania granic między pracą fizyczną i umysłową. Pojmując pedantycznie, człowiek obsługujący kompleks agregatów, siedzący w wygodnym fotelu, patrzący na bliski różnokolorowych lamp kontrolnych, zegarów, wskaźników — jest mimo wszystko robotnikiem. Obsługuje bowiem tylko maszynę. Ale — możemy sobie bez trudu wyobrazić — ów „robotnik” musi posiadać nieliczne kwalifikacje. Konieczna jest bardzo wszechstronna znajomość wszystkich kierowanych przez niego na odległość maszyn. Ów „robotnik” ustroju komunistycznego musi posiadać zdolność natychmiastowego znajdowania sposobu usunięcia uszkodzenia lub ewentualnego błędu produkcji. Trudno więc powiedzieć, czy „władca maszyny” jest robotnikiem czy inżynierem. Moglibyśmy powiedzieć o nim jako o robotniku posiadającym wykształcenie inżynierskie — i to, zdaje się, byłoby najbardziej trafne określenie, które jest równocześnie ilustracją zniknięcia granicy między pracą fizyczną i umysłową.

Nie myślcie, że budowa fabryk-automatów jest problemem od nas bardzo odległym. W Związku Radzieckim wzbudowano już kilka zakładów tego rodzaju. Przeprowadzane są dalsze doświadczenia, udoskonalona się metody konstrukcji. Gdy zobaczycie za kilka lat w Polsce taką fabrykę, przypominajcie sobie o długiej drodze wiodącej od prymitywnego warsztatu, gdzie robotnik był równocześnie narzędziem i siłą pociągową, do zakładu, gdzie maszyna jest całkowicie ujarzmiona.



Fot. — CAF
W Tunisie trwa nadal napęta sytuacja. 1 kwietnia br. w całym kraju odbył się powszechny strajk na znak protestu przeciwko polityce kolonizatorów francuskich w Tunisie.

Na zdjęciu: Moment aresztowania patrioty tuniskiego

„Indochiny” w Tunisie

Pewien brytyjski deputowany do Izby Gmin, zapytany przez korespondenta „France Soir” co sądzi o ostatnich pociąganiach rezydenta Francji w Tunisie, wicehrabiego Hauteclocque, odparł ironicznie: „Jak to, więc wy, Francuzi, nie macie jeszcze dość Indochin?”

Paryż, w kwietniu

Sytuacja w Tunisie pod wieloma względami przypomina sytuację, która na jesieni 1946 r. doprowadziła do wybuchu wojny w Indochinach. Gdy w listopadzie 1946 r. gaulistowski admirał d'Argenlieu kazał bombardować dzielnicę „tubylców” w Hefongu, wyobrażał sobie, że zlikwiduje tym samym zaczątki niezawisłości, które rząd francuski był zmuszony przyznać młodej Republice Wietnamskiej. Wiadomo, co nastąpiło potem: Francja „załamała się” w „brudną wojnę” 2 tysiące miliardów franków, tj. wielokrotnie więcej, niż wartość wszystkich inwestycji kapitalistów francuskich w Indochinach. Ponad 30 tysięcy Francuzów — w tym kwiat młodzieży oficerskiej — znalazło śmierć w wojnie, co do wyniku której nikt we Francji nie ma dziś jakichkolwiek złudzeń. Metoda przemocy kolonialnej zwróciła się przeciw jej inicjatorom.

Rezydent francuski w Tunisie, wicehrabia Hauteclocque, uczynił wszystko, aby analogia indochińska była jak najpełniejsza.

W wyniku znanych represji zastosowanych przez rezydenta francuskiego w Tunisie, sabotaż i podjazdowe walki patriotów tuniskich z okupantem wchodzi w stadium chroniczne. Patriotci szczególnie często przecinają druty telegraficzne i telefoniczne, pragnąc przeciwstawić się przekazywaniu rozkazów o represjach.

W Paryżu zaczęła przeważać opinia, że w końcu „coś trzeba zrobić z tuniskim fantem”. Rząd Pinay'a opracował projekt „reform”, który zresztą do dziś został zatarty przed opinią publiczną. Hauteclocque powrócił do Tunisu zaopatrzonego w tajemnicze „instrukcje i pełnomocnictwa”. Zagadka nie dała na siebie długo czekać. 26 marca Hauteclocque zażądał od beja audiencji w cztery oczy, jednakże zgodnie ze zwyczajami, bej przyjął rezydenta w otoczeniu swych ministrów. W obecności premiera Chenika i jego ministerialnych kolegów Hauteclocque postawił pod adresem beja bezprzykładne w historii dyplomacji ultimatum: zażądał dymisji legalnego rządu Chenika jako warunku rokowań. Scena przypominała do złudzenia „dobre czasy” kolonializmu, sprzed lat 70, kiedy to konsul Francji w Tunisie, waląc pięścią w stół, dyktował bejowi bezapelacyjne rozkazy.

W kilka godzin po tej rozmowie bej Tunisu wystosował do prezydenta Auriola telegram, zwracając uwagę na niedopuszczalne metody Hauteclocque'a. Telegram — miał się domagać dymisji Hauteclocque'a.

Następnej nocy Hauteclocque aresztował Chenika i urzędujących ministrów tuniskich oraz 600 innych przywódców partii narodowych. Burgiba został przewieziony z Tabarka w nieznanym miejscu pobytu. Stan obłączenia, który formalnie nie został zniesiony od 1939 r., uległ znacznemu zaostreniu. Głównodowodzący wojsk francuskich w Tunisie — gen. Garbay, który wymordował w swoim czasie 80 tys. Malgaszów — otrzymał dyktatorskie pełnomocnictwa. Na murach miast ukazwały się afisze z podpisem tego „wypróbowanego” pacyfikatora, zapowiadające karę śmierci za wszelkie zamachy na „wewnętrzne lub zewnętrzne bezpieczeństwo kraju”. Rezydent generalny zarządził ścisłą cenzurę prasową. Redakcje pism paryskich na próżno próbowały połączyć się telefonicznie ze swymi tuniskimi korespondentami.

Brutalność Hauteclocque'a wywołała w Paryżu konsternację nawet w łonie większości rządowej — szczególnie wśród przywódców SFIO i MRP, którzy „programowo” udają „postępowy” stosunek do zagadnień kolonialnych i ponadto... muszą liczyć się z własnymi wyborcami. Deputowany socjalistyczny, Verdier, wniósł napuszoną interpelację.

Równie groteskowo wygląda „zdumienie” MRP, w chwili gdy członek tej partii, Robert Schuman, jest jeszcze bardziej niż inni ministrowie odpowiedzialny za to, co się dzieje w Tunisie. A przecież w ogóle obie te partie — SFIO i MRP — są odpowiedzialne za rząd i jego „reformy”.

Paryskie pisma, które w innych wypadkach bynajmniej nie występują przeciwko praktykom kolonializmu, tym razem notują z niepokojem, że zarządzenia rezydenta stanowią idealną wodę na młyn dla skargi w sprawie Tunisu, która 15 państw azjatyckich zamierza wnieść na forum ONZ.

„Czy mamy w Tunisie środki, aby kontynuować politykę siły, weszłą przez rezydenta?” — pyta z niepokojem organ giełdy „Les Echos”. Londyński korespondent „France Soir” zwraca uwagę na „zdumienie” brytyjskich kół politycznych „brawurą” Francji: aby kontynuować politykę Hauteclocque'a, trzeba by wysłać do Tunisu coraz więcej żołnierzy. Skąd Francja ma wziąć tych żołnierzy, skoro Indochiny i zbrojenia europejskie już wyczerpały ją do szczytności?

Najbardziej absurdalnie przedstawia się jednak dyplomatyczny aspekt wybrków rezydenta. Hauteclocque aresztował legalny rząd tuniski. Z kim kontynuować dialog? Chociaż bej pod groźbą detronizacji zgodził się na mianowanie nowego premiera, jaki może być autorytet człowieka, przyjmującego posadę ministerialną w takich warunkach?

Rezydent generalny, a wraz z nim polityka kolonialistów francuskich w Tunisie, znalazła się w impasie i w obliczu groźnej „próżni politycznej”, która przeraża nawet duży odłam prasy mieszczańskiej, jak „Populaire”, „Combat”, „Franc Tireur” i „France Soir”. Pisma te krytykują gwałtownie rząd i je-

Astronomiczne teleskopy z anteną

Niewidzialne gwiazdy nadają silne fale radiowe

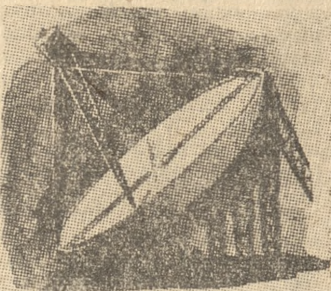
W 1947 roku do brzegów Brazylii przybił i zarzucił kotwicę radiotelegraficzny parostatek „Gribojedow”. Był to dziwny statek. Posiadał on na pokładzie skomplikowaną sieć stalowych lin o powierzchni 80 m², skierowaną w stronę oślepiającego świecącego Słońca. Był to pierwszy w świecie radioteleskop przeznaczony dla obserwowania słońca — przyrząd „widzący” niewidzialne promienie, pochodzące od ciał niebieskich, a promieniujące z nich — fale radiowe.

Dwaj uczniu radzieccy wpa-

dl na pomysł zastosowania radia w astronomii. Propozycję, aby potężnym promieniem radiowym przebić „elektryczne niebo” — warstwę naelektryzowanych gazów — leżącą w stratosferze i posłać sygnał w przestrzeń. Odbite od ciał niebieskich fale radiowe — winny były powrócić na Ziemię jako „sygnał — odpowiedź”. Już w roku 1946 okazało się, że pojęcie radioastronomii uległo znacznemu rozszerzeniu, i że nie ma potrzeby nawoływać się z planetami i odbierać tylko słabe echa naszych sygnałów. Wyjaśniło się, że Słońce i Galaktyka wypromieniowują fale radiowe i pozostają nam tylko poznać kosmiczne fale radiowe. Dzięki udoskonalonemu teleskopom oko ludzkie może zobaczyć dwa miliardy gwiazd, nie licząc milionów Galaktyk, olbrzymich systemów gwiazdowych. Ale oprócz światła widzialnego istnieje jeszcze cały ogromny świat — ultraczernych, fioletowych, rentgenowskich i gama promieni oraz fal radiowych niedostępnych dla naszego wzroku.

Radzieccy uczniu pokonali trudności. Udało się im sfotografować, w niewidzialnych infraczernych promieniach, niedostępny dla zwykłego teleskopu — maszynowy ośrodek naszej Galaktyki, a na kliszach — zdumionym

oczom ukazał się cały tajemniczy świat infraczernych gwiazd nagranych tylko do tysiąca stopni. Radioteleskop — to w rzeczywistości — antena skierowana dla wyławiania słabych sygnałów radiowych. To swego rodzaju „lustro” podobne do znajdujących się w teleskopie. Długość fal radiowych przewyższa miliony razy długość fal świetlnych i od takich „zwierciadeł” nie wymaga się tej precyzji, co od optycznych. Dlatego też radioinstrumenty mogą mieć średnicę o dziesiątki metrów dłuższą niż największa w świecie luneta czy też reflektor.



Gwiazdy mówiące przez radio

Obserwacje „radioastronomii” przez radziecką ekspedycję w Brazylii wykazały, że w czasie, gdy światło Słońca, całkowicie zakryte przez Księżyc — zmniejszało się o milion razy, to jego radiopromienowanie — tylko dwu-

krotnie. To znaczy, że fale radiowe pochodzą nie z powierzchni świetlnej Słońca, a z innych warstw — chromosfery, a głównie z korony słonecznej. Przekonano się, że sygnały, pochodzące z Galaktyki, nie są równomiernie rozmieszczone po całym niebie. „Głosy gwiazd” dźwięczą najdźwięczniej, gdy radioteleskop był skierowany na płaszczyznę Drogi Mlecznej, gwiazdozbioru Łabędzia, Kasiopei i Strzelca, a cichy, gdy „zwierciadło” odwracało się od nich. Tajemnicze „radiostacje kosmiczne” mają swoje ustalone ściśle miejsca — nierównomiernie rozrzucone po całym niebie.

Ciekawą próbę odczytania sygnałów radiowych z Galaktyki przeprowadził młody astronom moskiewski Szklowski. Czy źródłem kosmicznych sygnałów są gwiazdy, czy też inne, nieznane jeszcze ciała niebieskie — było to pierwsze pytanie, jakie zadał sobie uczony. Naniósł on na arkusz wszystkie gwiazdy znajdujące się w najbliższych okolicach Słońca. „Bliższość” tę należy oczywiście rozumieć w pojęciu astronomicznym. Na tym samym arkuszu oznaczył wiadome, dokładne źródła promieni radiowych. Okazało się, że gwiazdy i „kosmiczne radiostacje” leżą w różnych punktach nieba. Fakt ten przekonał uczonego, że jest to specjalna grupa ciał niebieskich, niepodobnych do znanych nam i widzialnych gwiazd. Były to więc „radiogwiazdy”. Niektóre z nich są położone o wiele bliżej Ziemi niż gwiazdy widzialne. Zdało się, że gwiazdy są bardzo oddalone jedna od drugiej, wolno i samotnie płynąc po swoich szlakach w absolutnej próżni. Światło, pędzące poprzec kosmiczne pustynie z szybkością trzystu tysięcy km na sekundę, dociera od jednej gwiazdy do drugiej w kilkadziesiąt lat.

Burzązyczna astronomia upewniała, że nasz system słoneczny jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju i z pewnością w całym Wszechświecie nie ma sobie równego. Prace radzieckich uczonych obalają tę teorię. Prześtrzeń międzyplanetarna, to nie pustka. Jest ona zapełniona drobniutkimi cząsteczkami, jakby dymem gwiazdowym — tworzącym mgławicowe obłoki.

W okolicy Słońca ześrodkowane jest mnóstwo niewidzialnych ciał niebieskich, których wielkość, według Szklowskiego — przewyższa trzydziestokrotnie ciała widzialne. Badania prof. Parenago ocenili ogólną masę naszej Galaktyki na około osiemdziesiąt miliardów mas słonecznych. Z tego tylko 1/4 przypada na gwiazdy widzialne, 3/4 składa się z masy niewidzialnej materii. Znaczną jej część to olbrzymie, ciemne obłoki pyłu i gazów błądzące w przestrzeni, a w końcu infra — i radiogwiazdy. Radiogwiazdy w znaczeniu astronomicznym są b. małe. Szklowski liczy, że są one dwudziestokrotnie mniejsze niż nasze Słońce. Nie są wygasłe jak planety, ponieważ promieniają z nich potężne fale radiowe. Z drugiej zaś strony ciepło ich — prawdopodobnie nie przekracza tysiąca stopni, inaczej byłyby one widzialne przy pomocy potężnych teleskopów. Według Szklowskiego te ciała niebieskie zajmują przestrzeń między gwiazdami, a planetami. Inni twierdzą, że są to ciała, których substancja znajduje się w zupełnie nieznanym stanie.

Radiogwiazdy to jedna z najbardziej frapujących zagadek współczesnej astronomii. Czy są to na pół zgasłe gwiazdy, czy też odwrótnie protogwiazdy — substancje dla przyszłych ciał niebieskich, a może to planety — tułaczki, które jak widma unoszą się w przestrzeni, póki nie dostaną się w niewolę jakiegś gwiazdy? Na te wszystkie pytania odpowie wkrótce radziecka astronomia.

„Lis pustyni” w atlantyckiej dżungli

Znana amerykańska wytwórnia filmowa „Twentieth Century Fox” wyprodukowała ostatnio film, który jest przysłowiowym „fuksem” w dżungli światoburczych planów atlantyckich. Film nosi tytuł „Lis pustyni” (fox po polsku lis) i przeznaczony jest dla zrehabilitowania nie żyjącego już dawnego szefa hitlerowskiego wehrmachtu — marszałka Rommla. Młode Aniołowie (po hiszpańsku — Los Angeles) sprparowało z wielkim kunsztem z dawnego legendarnego kłosa (mordercy) przedziwnego aniołka. Włec — pełnego wielokrotności bohatera, więc niedocenianą wielkość otoczenia Hitlera, więc — postać subtelna i pełna moralności. Jednym słowem aniołka w konstelacji marszałków spod znaku złamanego krzyża.

Jest zrozumiałym, że prowadzona przez atlantycką — z wielkim nakładem sił i dolarów „zimna wojna psychologiczna”, ma się wszelkich środków. Konieczność uzasadnienia przed społeczeństwami potrzeby odbudowania wehrmachtu, tym razem dla odmienny adenaucerskiego, natencna filmowego kiczopisarza niejakiego Nunnally Johnsona, do stworzenia scenariusza, wybielającego jednego z byłych krwawych morderców niedoszłego „nowego brunatnego porządku”. Zresztą niezwykle „pięknie” ujmują to komentator reakcyjnego dziennika „New York Times”: „mr Johnson użył wszelkich dostępnych środków w swoim scenariuszu, by oddać wierny obraz uczciwego żołnierza, o wspaniałej odwadze, szlachetności i ludzkości”.

Film — wkrótce po wejściu na ekrany amerykańskie, pojawił się w Anglii. Ameryka przyjechała go ze zmiennymi nastrojami. Zresztą temperatura psychozy wojennej w połączeniu ze stałym nitem krytycznego odczuwania i reagowania nie pozwalała na wywołanie sobie ścisłego sądu. Opinia angielska — prawie bez wyjątku — przyjęła ów film demonstracyjnie, wrogo. Zbyt słabe są jeszcze nie zagłuszone rany brytyjskich wyspiarzy, doświadczonych grozą minionej

pory, która na przeszkodzie nie do przewyżnienia. Francuscy technicy filmowi ze wstrętem i oburzeniem odrzucili propozycję współpracy. Odruch społeczeństwa francuskiego jest żywiołowy. Francuzi lepiej, aniżeli wszyscy inni, pamiętają zagony „hitlerowskiego lisa” na ziemi rodzinnej.

Reakcja społeczeństw zachodnich jest gwałtowna. Również w skomponowanej i sprzedanej prasie anglo-amerykańskiej, idącej na pasku inspiratorów z Waszyngtonu, Pentagonu i Departamentu Stanu, spotkać można pewne przebiegły prawdomówności i wylew tajonych uczuć wobec praktyk oszustwa i jawnego... oglupiania społeczeństw. Oto kilka wycinków z dzienników amerykańskich w związku z hollywoodzką premierą filmu „Lis pustyni”.

„Lis pustyni”, przedstawiający dzieło marszałka Rommla, przychodzi w sam raz w porę... Fakty ujawnione w filmie są wystarczająco zamaskowane, aby nieświadomy widz mógł zapomnieć, że Rommel był osobistością wielce sławioną przez Hitlera... Ten Rommel, który dokonywał wszelkich okrucieństw wojennych i który dopiero w końcu odwrócił się od fuchera, kiedy sprawa III Rzeszy była przegrana!... „New Yorker” z dnia 27 X 1951 r.

„Darryl F. Zanuck, szef produkcji „Twentieth Century Fox”, oświadczył nam wczoraj wieczorem, że „Lis pustyni” został nakręcony przy całkowitej aprobacie i współpracy Departamentu Stanu. Liczne sceny — dodał mr. Darryl F. Zanuck — kręliśmy w Niemczech Zachodnich i w tym celu najwyższe czynniki rządowe Waszyngtonu udzieliły nam niezbędnej aprobaty.” „Los Angeles Times” z dnia 15 X 51 r.

A oto kilka wycinków z prasy angielskiej, reprezentującej szeroki wachlarz wszelkich odcieni politycznych:

„Film usiłuje wyolbrzymić w sposób absurdalny naszego dawnego wroga.”

„Daily Herald”

„Zbyt grubą ncią sztyta rzeczywistość.”

„Daily Mail”

„Ten film igrza z ogniem.”

„Evening Standard”

„Miałem chęć wstać z krzesła i rzucić w ekran... granatem. Taka mnie złość porwała!”... krytyk z „Daily Express”

„Lis pustyni” jest filmem, który wstrząsa sumieniem selektyści wojen weteranów ostatniej wojny światowej. Jest znanym, że premiera w Hollywood zbiegła się równocześnie z otwarciem wystawy książek filmowych. Uwagę zwracały przede wszystkim tytuły dwóch książek, symbolizujące sens i cel wystawy. Pierwsza z nich pt. „Lis i upadek Hermana Goeringa”, napisana została przez Willę Frischauera. Znany periodyk amerykański „Time” w ten sposób recenzuje w sloganowym skrócie książkę: „Frischauer pokazuje nam w sposób przekonujący, że Goering był człowiekiem pełnym honoru żołnierskiego, lojalności osobistej, obdarzony łagodnością i szlachetnością”. Druga książka nosi tytuł: „Taniec ze śmiercią” i napisana została przez Ericha Kerna, określonego w recenzjach jako „byłego oficera z przybytnego gwardii Hitlera i równocześnie legalnego nazysty dni dzisiejszych”. Sam „New York Times” poświęcił „lojalnemu nazistce” pół kolumny, dając jego zdjęcie w mundurze gwardzisty na tle portretu Hitlera.

Jak wyraża się postępową opinią amerykańską, „renazyfikacja Niemiec Zachodnich, w porównaniu z nazyfikacją Stanów Zjednoczonych postępuje zółwim krokiem”.

Omega

Zetwu





STRZEŻ OKA W GŁOWIE

itp. gdy stykamy się z chorym na jaglicę. Jeżeli chorym dotykał palcami cierniowe oko, to po podaniu jemu ręki możemy w każdej chwili przetrzeć zakażenie do własnego oka. To samo grozi domownikom używającym wspólnej miednicy lub ręcznika którego używa chory. Jaglica jest poważną chorobą oczu i nie leczona często doprowadza do ślepoty.

Ponieważ w Polsce jest jeszcze wielu chorych na jaglicę, rząd Polski Ludowejłoży znaczne sumy na zwalczanie tej choroby i udostępnia bezpłatne leczenie wszystkim cierpiącym.

Ostrożnie z lodowcem

Oko jest narządem szczególnie przystosowanym do odbierania światła. Wrażliwość oka i możliwość pracy jest najlepsza w pewnych, określonych warunkach oświetlenia. Intensywność oświetlenia zależy od rodzaju wykonywanej pracy; jeżeli światło jest zbyt jasne, za silne, wtedy może dojść do oślepienia i podrażnienia oczu. Doświadczając tego turyści maszerujący w słoneczną pogodę w górach wśród śniegów lub po lodowcu, wędrownicy posuwający się po płaskich pustyni. Od najstarszych czasów ludzie szukali sposobów zabezpieczenia wzroku przed szkodliwym promieniowaniem słonecznym. Historyk rzymski Pliniusz opisał smaragd, którego używał jasnoci cesarz Neron dla uchronienia się przed oślepieniem. Eskimosi nosili specjalne okulary z wąską szczeliną, do spoglądania w słoneczne dni na iskrzące śniegiem lody.

Dzisiaj w tym samym celu używamy różnych szkieł ochronnych, dymnych, noszonych nie dla ozdoby, lecz z istotnej potrzeby.

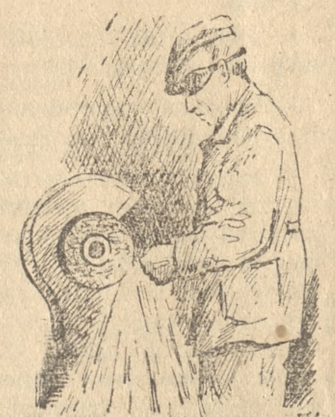
Najlepsze światło — rozproszone

Najodpowiedniejsze dla oka jest światło równomierne rozproszone. Nie można czytać książki lub pracować przy warsztacie bezpośrednio oświetlonym promieniami słonecznymi. Oświetlenie sztuczne również powinno być rozproszone. Najlepiej spełnia takie wymagania, właściwie zaopa-

trzone w klasie i osłonięte światło żarówek elektrycznych lub białe świeczki rur jarzeniowych (tzw. neonowych). Źródła światła migoczące o zmiennym natężeniu bardzo męczą oko. Jeżeli miejsce pracy posiada własne oświetlenie sztuczne np. lampę z żarówką, źródło światła trzeba zaopatrzyć w zasłonę nieprzezroczystą, aby promienie świetlne nie dostawały się do oka bezpośrednio z żarówki, lecz dopiero po odbiciu i częstotliwym rozproszeniu. Zasada ta jest szczególnie ważna i często nieprzebieżana w halach warsztatowych, pracowniach rzemieślniczych, biurach itp. Złe oświetlenie niepotrzebnie męczy oko i przyczynia się do obniżenia wydajności pracy.

Oko „widzi” również niewidzialne promienie

Poza promieniami widzialnymi, oko wystawione jest na działania promieniowania niewidzialnego. Promienie podczerwone, o dużej długości fali, mogą po dłuższym działaniu wywoływać zaczerwienienie skóry, czyli powodować kataraktę. Chronią przed nimi odpowiednie zasłony. Promienie ultrafioletowe też niewidzialne, są znacznie energiczniejsze w swym działaniu. Wysyła je lampy kwarcowe, luki elektryczne, powstające przy spawaniu. Najczęściej dopiero po kilkunastu godzinach pojawia się silne podrażnienie, zaczerwienienie oka — chory nie może patrzeć w światło i szuka pomocy lekarskiej. Porażenie światłem czasem doprowadza do uszkodzenia siat-



ki — światłoczułej błony ukrytej wewnątrz oka.

Wszyscy spawacze, a także ich pomocnicy, muszą być zawsze zaopatrzeni w dobre urządzenia ochronne (okulary, tarcze itp.). Przygodny widzący uliczny, patrzący na luk elektryczny, np. przy naprawie szyn tramwajowych, naraża swoje oko na uszkodzenie, podobnie jak spawacz bez okularów. Niekorzystnie wpływa na oko wykonywanie prac precyzyjnych przy zbyt słabym oświetleniu, lub czytanie o zmroku. Przy czytaniu okowinno pozostawać w odległości około 30 cm. Czytanie w pozycji leżącej narusza równowagę mięśni ocznych i jest szkodliwe. W razie potrzeby, leżący czytelnik musi mieć odpowiedni pulpit lub specjalne okulary do czytania.

Wielu ludzi nie widzi dobrze, ponieważ nie chce używać okularów. Boją się niepotrzebnego przyzwyczajania i „psucia” oczu. Gdy okulista zaleca okulary, czyni to właśnie dlatego, aby się oko nie męczyło i nie przepracowywało, ponieważ wtedy powstają dolegliwości oczu, bóle głowy, zmniejszenie wydajności pracy.

Uważać na sprzęt ochronny

Przy pracy wśród kurzu i pyłu, przy powstawaniu, drobnych odprysków kamienia, metalu np. w szlifierni, drobne lub większe kawałki tzw. ciała obce, mogą wpadać do oka, wbić się w rogówkę. Szlifiarze, ślusarze, tokarze muszą troskliwie osłaniać oczy okularami ochronnymi, ponieważ ciało obce może także przeniknąć do wnętrza gałki i otworzyć wrota infekcji. Obok okularów, dla celów bezpieczeństwa stosuje się specjalne osłony, ekrany i inne urządzenia. Często się zdarza, że sprzęt ochronny bywa niedostatecznie lub niewłaściwie wykorzystany, ponieważ robotnik nie został pouczony o zastosowaniu i użytkowaniu środków zabezpieczających. Nie wolno dla takiego powodu nie korzystać z osiągnięć naszej ochrony zdrowia, która w całości stoi na straży zdrowia polskiej klasy robotniczej.

Dr KAZIMIERZ W. SKRZYPCZAK

Our attack should be directed at the enemy weakness. Although the military services are primarily concerned with military weapons and methods, we must understand that this war is total war and is fought with all weapons. We must learn that in this war it is fair to hit below the belt.

„Catch as catch can”

czyli
pamiętnik gen. Grow
attaché amerykańskiego w Moskwie

W Waszyngtonie w amerykańskim departamencie stanu panuje niezwykle poruszenie. Wydarzyła się niemiła historia. W Berlinie ogłoszony został „Dziennik” byłego attaché wojskowego ambasady USA w Moskwie gen. majora Grow’a pisany w 1951 r. w czasie jego pobytu w stolicy ZSRR. Dostarczał go w fotokopii firmie wydawniczej „Rütten und Loening” oficer armii brytyjskiej z początków II wojny światowej Richard Squires.

W krótkiej przedmowie Squires mówi o przyczynach, które skłoniły go do ogłoszenia tego dziennika. Pisze on, że „kierował się chęcią walki środkami rozumu z bezmyślnym dążeniem do rozpalenia pożaru światowego”.

Treścią „Dziennika” są notatki szpiegowskie i myśli o konieczności wojny, przy tym wojny „wszystkimi środkami”. Cóż bowiem pisze amerykański generał? „Nasz cios — czytamy — powinien być wymierzony w najsłabsze miejsce przeciwnika. Powinniśmy pamiętać, że w tej wojnie nie będzie nieuczciwym uderzeniem poniżej pasa”.

Słowa o „uderzeniu poniżej pasa” mają widocznie oznaczać wojnę bakteriologiczną i stosowanie gazów. „Dziennik” Grow’a to bynajmniej nie paplanina nieodpowiedzialnego człowieka. Pisze to dyplomata, którego uwagi z pobytu w Moskwie przekazywane są prezydentowi Trumanowi. Czytamy bowiem:

„23 lutego, Piątek. Otrzymałem list od Bollinga, w którym donosi mi, że moja korespondencja przekazana została do wszystkich instancji włącznie do Prezydenta.”

Czym się zajmuje amerykański attaché wojskowy w Moskwie? Oto co w jego „Dzienniku” czytamy:

„8 stycznia (1951). Poniedziałek. Wyjechałem do południowej dzielnicy miasta w poszukiwaniu baterii przeciwlotniczych, lecz w nowych rejonach niczego nie znalazłem.”

„12 stycznia, Piątek. Przed południem jeździłem z Torałem i Abelem do południowo-wschodniej dzielnicy miasta. Nie dostrzegłem ani jednej pozycji przeciwlotniczej. Natomiast zebrałem dość dobre informacje o samej miejscowości.”

„20 stycznia, Sobota. Busch i ja w ciągu trzech godzin w czasie śnieżycy jeździliśmy po wschodniej dzielnicy miasta i sprawdzaliśmy pozycje trzech baterii przeciwlotniczych.”

Notatek w tym typie w „Dzienniku” znajdujemy mnóstwo. Generał amerykański nie zadowolony się jednak wywiadem w Moskwie. Wybrał się w podróż na południe ZSRR pod pretekstem odwiedzenia muzeum Lwa Tołstoja w Jasnej Polanie. W „Dzienniku” swoim pisze:

„16 kwietnia. Muzeum Tołstoja było zamknięte, lecz wcale to nam nie pomogło humoru, gdyż nie mieliśmy zamiaru go zwiedzać. Zapisalem mnóstwo numerów maszyn wojskowych. Po drodze widziałem pozycje przeciwlotnicze.”

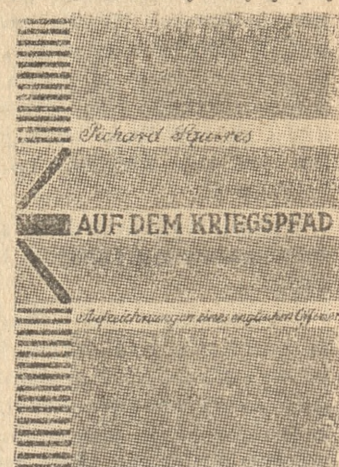
Jest to wszystko, co wywnioskował z „podróży” swojej do muzeum jednego z największych pisarzy 19 wieku. Zwiedził on następnie Psków, Orzeł, Władimir, Murom i inne miejscowości. Przejeżdżając 23 maja 1951 roku przez Rostow nad Donem, Grow notuje:

„Rostow jest to piękne miasto położone wysoko na północno-zachodnim brzegu Donu. Most stanowi najlepszy cel na południu Rosji. Zburzenie tego mostu równocześnie z mostem przez Kuban na stacji Kawkazka spowodowałyby odcięcie całego Kaukazu, o ile nie weźmie się pod uwagę innej niedogodnej drogi na Astrachan.”

chań, która może być sparaliżowana. Według naszych obliczeń na tej magistrali panuje największy ruch w Rosji.”

Przytoczyliśmy tylko drobną część notatek z „Dziennika” dyplomaty amerykańskiego, ale dostateczną, aby porównać oficjalne deklaracje rządu amerykańskiego z tym, czym zajmują się jego przedstawiciele w innych krajach.

Prezydent USA Truman, przysyłając na ręce przewodniczącego Rady Najwyższej



ZSRR Szewrnika, rezolucję amerykańskiego kongresu pisał: „Rezolucja ta jest wyrazem przyjaźni i dobrej woli narodu amerykańskiego wobec wszystkich narodów świata.”

Pięknie, nie ma co mówić, słowa. Niestety ręka dyplomaty amerykańskiego w tymże samym czasie notuje:

„Nasze wywiadowcze organy powinny stale starać się wyszukiwać i donosić zarówno o osiągnięciach jak i słabych stronach przeciwnika. Należy prawdę i nieprawdę zatrwać świadomości ludzkiej.”

Generał amerykański bredzi o chemicznej i bakteriologicznej wojnie („wszystkie środki są dobre”). Ridgway w Korei już stosuje gazy trujące, już zaraża ziemię koreańską i chińską bakteriami dżumy, tyfusu i cholery. Prezydent Truman pisał w liście do Szewrnika: „Najlepsza nadzieja pokoju w całym świecie polega na dążeniu do pokoju i braterstwa, które tkwią głęboko w sercu każdego człowieka”. Natomiast generał Grow mówi o potrzebie „uderzenia poniżej pasa”. Takie są słowa i czyny.

A może ogłoszony przez Richarda Squiresa „Dziennik” amerykańskiego generała jest falsyfikatem. Nie. Notatki dyplomaty amerykańskiego są autentyczne. Gazeta „Washington Post” donosiła: „Zajmujący wysokie stanowisko przedstawiciel armii amerykańskiej oświadczył naszemu korespondentowi, że „Dziennik” ten jest autentyczny”. Czytelnika niewątpliwie interesuje, co stało się po tym skandalu z gen. Grow'em. Nie dostał żadnej dyscyplinarnej. Po odwołaniu go z Moskwy otrzymał pracę w Pentagonie (główny sztab amerykański), gdzie zajmuje się doбором kadr wywiadowczych. Jedynie co drażni prasę amerykańską, to „głupota Grow’a”, który „zapisuje jak pensjonarka nie tylko swoje myśli, lecz i swoje spostrzeżenia natury wojskowej”. Jedyną nauką, jaką rząd amerykański wyciągnął z tego skandalu dyplomatycznego było wydanie zakazu pisania pamiętników wojskowym, będącym w misji dyplomatycznej za granicą.

Richard Squires, ogłaszając książkę pt. „Droga wojny”, oddał niemałą usługę sprawie pokoju jeszcze raz demaskując cynizm i obłudę amerykańskiej polityki zagranicznej.

HENRYK BARAŃSKI

Nie tylko nawóz podnosi urodzaje

Mikrobiologia rolnicza jako nauka o roli mikroorganizmów w rozwoju roślin istnieje zasadniczo od niedawna. Jednak radzieccy mikrobiolodzy zrobili już niejedno odkrycie dotyczące związku zachodzącego między światłem bakterii i roślinami.

Uczony radziecki W. R. Williams stwierdził, że w warstwie ziemi o głębokości 20 cm na przestrzeni 1 ha mieszczą się 3 miliony miliardów bakterii. Niektóre z nich są zaś nieodłączne dla normalnego rozwoju roślin szlachetnych. Bez nich bowiem gleba byłaby jałowa.

Współpracownik Instytutu Gospodarki Rolnej Związku Radzieckiego Łazarzew opracował nowy sposób bakteriologicznego ulepszenia struktury gleby i nazwał go symbolem AMB. Preparat ten zawiera bakterie przyspieszające proces przekształcania się zawartych w oborniku substancji w chemiczne związki, rozpuszczalne i dostępne jako pokarm dla roślin. Obecność bakterii przyspiesza ten proces i podnosi urodzaje. Doświadczenia poczynione preparatem AMB wykazały nie tylko, że zastosowanie go np. w glebie torfiastej podnosi wydajność ewsa od 3-4 ctr. z 1 ha, podnosi także urodzaj pszenicy i niektórych traw.

Inny preparat, który znalazł szerokie zastosowanie w kolchozach, przy siewie traw, nosi nazwę nitroginu. Zawiera on bakterie zdolne do przyswajania azotu z powietrza i przekazywania go roślinom. Ten środek produkuje się już w Związku Radzieckim masowo. A pola wzbożające nim podnoszą urodzaje koniczyń i grochu o 15 do 20 proc. z 1 ha.

T. D. Lysenko zastosował natomiast inny sposób wzbożania gleby. Zamiast siewu nawozów fosforowych i potasowych w formie proszku, użył on tych nawozów w formie kuleczek-granulek. Doświadczenia wykazały, że gdy do gleby wzbożonej bakteriami dodamy te granule, bakterie gromadzą się dookoła nich jako swe go żeru. Nagromadzenie zaś dużej masy bakterii dookoła granulek, a więc i dookoła korzeni przyszłej rośliny — jest właśnie jednym z ważniejszych zadań nowego sposobu ulepszenia gleby. Obecnie Instytut prowadzi dalsze badania, chodzi bowiem jeszcze o rozwiązanie problemów: w jakiej ilości należy zmieszać nawozy sztuczne z organicznymi, jaka powinna być wielkość granulek dla różnych gleb itp.

Odpowiedź na te pytania pozwoli rolnictwu zrobić dalszy krok naprzód i jeszcze bardziej uniezależnić człowieka od przyrody.

I. R.

Wacław z Szamotuł



Wacław z Szamotuł urodził się około r. 1533. Naukę początkową pobierał w szkółce parafialnej w Szamotułach. Podobno dalsze studia odbywał w Kolegium Lubrańskiego w Poznaniu. Następnie wyjechał do Krakowa, będącego wówczas jednym z największych ośrodków kulturalnych w Europie. Kraków, jako główny ośrodek życia muzycznego, posiadał zespoły śpiewaków czyli tzw. kapele. W r. 1547 Wacław z Szamotuł został śpiewakiem dworskim i kompozytorem kapeli królewskiej.

Lepszym był jednak Wacław kompozytorem niż śpiewakiem. Wskazuje na to powieść Stanisława Orzechowskiego, który pisał, że Wacławowi „nie brakowało do najwyższej doskonałości sztuki niczego, prócz głosu”. Do Krakowa przyjeżdżali muzycy zagraniczni. Mógł więc Wacław zapoznać się z utworami kompozytorów nie tylko polskich, ale także i obcych. W tym czasie przełożonym kapeli orantystów był znany i ceniony muzyk — Mikołaj z Poznania.

W czasie pobytu w Krakowie zbliżył się Wacław do koła dysydentów. To z pewnością wpłynęło na zerwanie z dworem królewskim i na wyjazd do Wilna, gdzie został członkiem kapeli na dworze Mikołaja Radziwiłła, głównego przywódcy kalwinów litewskich.

Wacław z Szamotuł był kompozytorem muzyki chóralnej „a cappella” tzn. bez towarzyszenia instrumentów. Pisał między innymi pieśni i motety. Motet jest wielogłosowym utworem chóralnym do łacińskiego tekstu religijnego. Charakterystyczną cechą tej formy muzycznej jest, że każdy odcinek tekstu posiada własny temat śpiewany kolejno przez wszystkie głosy. Niestety niewiele dzieł tego mistrza zachowało się do naszych czasów. Najczęściej wykonywane są dwa jego motety: pierwszy, zaczynający się od słów „Ego sum pastor bonus” i drugi od słów „In Te Domine speravi” oraz pieśń z polskim tekstem: „Już się zmierzcha, nadchodzi noc”.

Utwory te są dobrze znane polskiej publiczności, gdyż były już kilkakrotnie wykonywane przez chór chóplęcy i męski przy Państwowej Filharmonii w Poznaniu pod

dyr. Stefana Stuligrosza. Polski tekst pieśni Wacława z Szamotuł świadczy o tym, że słynne hasło wprowadzenia do literatury języka ojczystego, rzucone przez Reja, znalazło wielu zwolenników.

Wacław z Szamotuł przeszedł do historii przede wszystkim jako kompozytor i to na miarę europejską. Dzieła jego zamieszczone obok utworów największych współczesnych mistrzów. Dzięki Wacławowi z Szamotuł, a także i innym kompozytorom polskim z XVI wieku muzyka polska zajęła stanowisko równorzędne z innymi narodami.

Wacław z Szamotuł był kompozytorem muzyki chóralnej „a cappella” tzn. bez towarzyszenia instrumentów. Pisał między innymi pieśni i motety. Motet jest wielogłosowym utworem chóralnym do łacińskiego tekstu religijnego. Charakterystyczną cechą tej formy muzycznej jest, że każdy odcinek tekstu posiada własny temat śpiewany kolejno przez wszystkie głosy. Niestety niewiele dzieł tego mistrza zachowało się do naszych czasów. Najczęściej wykonywane są dwa jego motety: pierwszy, zaczynający się od słów „Ego sum pastor bonus” i drugi od słów „In Te Domine speravi” oraz pieśń z polskim tekstem: „Już się zmierzcha, nadchodzi noc”.



Jędraszkę położył pie-
niądze na stół i po-
wiedział:
— Więcej nie będzie.
— Jak to... nie bę-
dzie?

PIOTR GUZY

JĘDRASZKOWIE

Jego żona odstąpiła od pie-
ca i przysunęła się bliżej sto-
łu. Duże wypukłe oczy prze-
słoniła jakby mgłą. Podniosła
rękę do twarzy równie pozo-
łkiej, jak jej chude, kościste
palece, którymi powiodła przez
chwilę po policzku. Twarz
skurczył bolesny grymas.

— Nie będzie i już. Zwoł-
nili mnie.

— Chryste!

Usiadła ciężko przy stole,
tłumiąc wzbierający w gardle
placz. Na białej w niebieskie
groszki ceracie leżało trzy-
dzieści złotych: dwie papie-
rowe dziesięciotówki i pięć
srebrnych dwuzłotówek.

— Tak... od zaraz?

— Od zaraz.

Jędraszkę zdjął marynarkę,
przewiesił przez krzesło i u-
siadł przy oknie. Na zapac-
kanej błotem ulicy bawiły się
dzieci w skakanie. Dostrzegł
wśród nich najmłodszą có-
reczkę Urszulę. Kręciła za-
wzięcie sznurkiem, przez któ-
ry przeskakiwała koleżanka.
Niekiedy słychać było przez
szybę zniekształcone odgłosy
ich głośnych śmiechów i o-
krzyków.

Wyjął z kieszeni pudełko z
tytoniem, skrocił papierosa i
zapalił.

Żona wróciła do pieca. Sta-
ła pochylona nad blachą i po
wstrząsach, jakie przebie-
gały po jej plecach poznał,
że nie opanowała jeszcze we-
wnętrznego szlochu. Miała na
sobie długą spódnicę, starą,
zszarzałą, nasiąkłą kuchen-
nymi zapachami i nijakiego
koloru bluzkę, ciasno opina-
jącą chude ramiona. Siwie-
jące, rzadkie włosy spięte w
nikły węzełek nad karkiem
dodawały starości tej kobie-
cie, młodej jeszcze, o znisz-
czonej twarzy, wypranej z
wszelkich radości i błysków
życia.

Kuchnia była jak i oni:
szara, biedna. Pod ścianą sta-
ły dwa żelazne łóżka, na jed-
nym sypiała Urszula z dwu-
lata od niej starszą Klarą, na
drugim, bliżej okna — Stach,
„Stasinek“ dla matki, sze-
snastoletni chłopiec o oczach
dużych, jasnych i zawsze roz-
trzęsionej czuprynie. Nigdy
go w domu nie było, buszo-
wał po kolonii przez cały
dzień, wracał wieczorem, kie-
dy ojciec wychodził do pracy.

Nad łóżkiem dziewcząt wi-
siał obrazek, przedstawiają-
cy Świętą Rodzinę przy pra-
cy w stolarni. Pod spodem
był pouczający napis: „Módl
się i pracuj a będziesz zba-
wiony“. Jędraszkę nie modlił
się od czasu, kiedy zmarło
mu kilkumiesięczne dziecko,
które można było uratować,
gdyby na czas wezwano leka-
rza. Ale na doktora nie było
pieniędzy, a stara Wieczor-
kowa, która „zamawiała“ cho-
roby, tym razem zawiodła.
Za to żona modliła się podwój-
nie, a może potrójnie: za sie-
bie, za męża i za Stasinika,
który zamiast w niedzielę iść
do kościoła, wołał z jakimiś
„chacharami“ grywać w bi-
lardu u Kminka na rogu
Górnicej i Ślaskiej. Modliła
się rano, wieczorem i pół-
czas dnia, lecz zbawienie nie
nadhodziło.

W maju zeszłego roku zwoł-
niono Jędraszkę z cementow-
ni: koniunktura na rury ka-
nalizacyjne i inne cementowe
wyroby upadła z nastaniem
kryzysu. Dyrektor, który w
ciągu trzech lat swojego za-
rządzania fabryką wybudow-
wał sobie nowoczesną willę

przy parku w stronę Starych
Tarnowic i do pracy jeździł
własnym samochodem, nie
zapytał Jędraszkę, co będzie
teraz robić. Nie należało to
do jego kompetencji. Dał dzie-
sięć złotych odpłaty —
„niech pozna moje dobre ser-
ce“ — i wrócił do partii bryd-
ża.

Nie nie robił. Prawie przez
cały rok. W tym czasie Stach,

drwa, biegł za sprawunka-
mi. U jednego z kolegów,
który grywał gdzieś w orkie-
strze, uczył się grać na akor-
deonie. Ale od pewnego cza-
su zmienił się, zhardział, zro-
bił się zły, rzadko odezwał
się do kogo, a jeśli — to nie
dobrym słowem i zaczął
kłać.

Widząc matkę powracającą
codziennie z konewką magi-

nie pociągu, a po chwili cie-
żkie sapanie wspinającej się
pod górę lokomotywy. Przy-
spieszili kroku.

Ukryci w gęstych krzakach
przeczekali, aż minie ich pa-
rowóz a potem szybko pod-
nosili się z ziemi i wskaki-
wali na wagony. Przywykłe
do tej roboty ręce zwinnie
zwalają duże bryły węgla.
Jedna po drugiej spadały do
rowu zroszone wapnem gru-
dy. Jeszcze, jeszcze kilka ka-
wałów i już trzeba zeskaki-
wać, bo pociąg wjechał w
pierwsze zabudowania kolo-
nii a z ostatniego wagonu
wychylił się ku nim, wyma-
chując karabinem, strażnik
kolejowy.

Przycupnęli w rowie i pa-
trzyli na obracające się szyb-
ko koła pociągu. Od rozgrza-
nych osi wionął swąd palo-
nej oliwy. Teraz już się nie
zatrzyma. Chwała Bogu, że
tylko jeden strażnik! Z dwo-
ma jest większa bieda, cza-
sem strzelają. Ostatni wagon
z przyczepioną do budki stra-
żnika lampką zniknął w głę-
bokim parowie. Zerwali się
na nogi.

— Gdzie Wajda? — krzy-
knął nagle Skórek.

— Wajda? On pierwszy sko-
czył, powinien być tam dalej.

W zrudziałym ciemnym po-
wietrzu jesiennego wieczoru
zobaczyli Wajdę pięćdziesiąt
metrów przed sobą. Leżał na
piecach obok toru z rozkrzy-
żowanymi rękami. Lewa była
przejechana w łokciu. Do
cieplej jeszcze szyny przyle-
gał poszarpany, buchający
krwią kikut. Był bez przyto-
mności.

— Rany boskie! — Skórek
złapał się za głowę.

Od polnej drogi biegło po-
kraczkami kartofliskiem dwóch
policjantów. Nawet nie zau-
ważyli, kiedy znaleźli się nad
torem. Skórek dał nura w
krzaki. Szmicura nie zdążył
i trafiony kulą w nogę upadł
na ziemię.

Stach klęczał pochylony
nad Wajdą i rwał chusteczkę
na pasy, aby zatamować

— Do burmistrza.

— Znowu?

— Znowu.

Wspiął się na górę i dłu-
gim korytarzem, oblepionym
ponumerowanymi drzwiami,
przeszedł na sam koniec,
gdzie wisiała karteczka:
„Burmistrz, Godziny przyjęć
od 10 do 12“.

Przed gabinetem czekała
już grupka dziesięciu ludzi.
Usiadł z tyłu i po pół godzi-
nie zapukał do drzwi.

— Proszę — odpowiedział
ze środka ostry głos.

Zamknął za sobą drzwi de-
likatnie, żeby nie stuknąć.
Stał przed biurkiem.

— Co wy tak ciągle mnie
nachodzicie? Nie macie nic
lepszego do roboty? — rzucił
niecierpliwie burmistrz.

— Panie burmistrzu, ja tak
dalej nie mogę...

— Co nie możecie, co ta-
kiego?

— Od sześciu miesięcy nie
pracuję... i już nie wiem, jak...

— No to co — przerwał mu
burmistrz — to ja mam dać
wam pracę?

— Pan burmistrz mógłby,
gdyby zechciał: żeby mnie
z powrotem do gazowni przy-
jeli.

— Od tego jest Dział Za-
trudnienia. Ale zaraz — to
wasz syn siedzi za kradzież
węgla?

— Ale on przecież...

— To tak syna wychowu-
jecie? Na złodzieja?

— Syn dobry, tylko czasy
paskudne, panie burmistrzu.

— A! Czasy, czasy! Wszy-
stkiemu czasy winne. Kry-
zys, wiadoma rzecz.

— Panie burmistrzu, do-
praszam się...

— Żadnego dopraszania się
nie przyjmuję. Może jeszcze
po rękach całować mnie za-
czniecie? Od tego jest ksiądz.

Jędraszkę poczęła gorączko-
wo grzebać w wewnętrznej

— Dajcie mi święty spokój
z jakimiś tam waszymi pa-
pierami.

Burmistrz odepchnął ręką
papier i zapalił papierosa.
Był zdenerwowany. Że też ci
ludzie nie pozwolą mu żyć
spokojnie! Wiecznie jakieś
pretensje! I do kogo? Do nie-
go, który chce by wszystkim
było jak najlepiej.

Jędraszkę schował doku-
ment, cofnął się o krok od
biurka. Podniósł pięść.

— To ja o t a k ą Ojczyznę
walczyłem; która mi teraz
kawka chleba nie da! W
której dzieci mi głodują! O
taką? O taką? O taką Oj-
czyznę? — doskoczył do biur-
ka i walił w nie pięścią. —
To pan chce, panie burmi-
strzu, żebym ja co robił? Ze-
bym za ostatnie kilka zło-
tych kupił powrót i powiesił
się z całą rodziną? — zawisł
nad nim z podniesioną ręką.

— Wasz interes, co zrobi-
cie — odpowiedział z ukry-
tym spokojem burmistrz i
przycisnął dzwonek wzywa-
jący woźnego.

Jędraszkę wyprostował się.
Patrzył przez chwilę na roz-
łożonego wygodnie w fotelu
burmistrza, który obojętny
na wszystko zaciągał się pa-
pierosem.

— Żeby was wszystkich!...
Żeby całą tę waszą Polskę...

Zmiał w zębach przekleń-
stwo, obrócił się i wyszedł z
pokoju.

Już więcej do niego nie
wrócił. Pożyczył skądś piętna-
ście złotych, kupił kilka me-
trów drzewa, poprzeryzał na
klocki i porąbał na równe pa-
tyczki. Do trzydziestego ó-
smego roku, kiedy jesienią
zmarł na gruźlicę, widzieć go
można było, jak popychając
ręczny wózek, ciągniony przez
Stacha, objeżdżał ulicę mia-
steczka i zachrypniętym gło-
sem nawoływał:

— Drze...wo! Drze...wo ra-
bane!

Ale i tak niewiele w domu
się zmieniło.

Tak więc, Jędraszkę nie
doczekał się nowej Polski,
gdzie praca, będąca „pra-
wem, obowiązkiem i sprawą
honoru każdego obywatela“
została zagwarantowana prze-
pisem konstytucyjnym.

Doczekał jej Stach. Jest
dzisiaj wykwalifikowanym
ślusarzem w warsztatach na-
prawczych tej samej gazow-
ni, z której kilkanaście lat
temu tak brutalnie wyrzucio-
no ojca na bruk. Chce się
wkrótce ożenić. Ma wymarzo-
ny akordeon.

Klara wyrównała wszystkie
zaległości w nauce i jest ka-
sjerką w barze mlecznym na-
szego miasteczka, obsługiwa-
nym przez Brygadę Młodzie-
żową ZMP. Wyrosła, jest bar-
dzo podobna do matki, którą
razem ze Stachem utrzymu-
ją. Uczy się grać na forte-
pianie.

Urszula, ta najmłodsza,
jest maszynistką w firmie
budowlanej, która stawia
dziś nowe bloki mieszkalne
za szpitalem powiatowym.
Dziewczyna jest wesoła, ma
dużo koleżanek i niewiele
pamięta z tamtych, złych,
przedwojennych czasów.

Dla nich życie jest dzisiaj
inne.

